Rok II. Dwutygodnik Nr. 3

OGNISKO DOMOWE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, KULTURALNYM I OŚWIATOWYM, UBEZPIECZAJĄCY SWOICH STAŁYCH ABONENTÓW W RAZIE NIESZCZĘŚLIWEGO WYPADKU. ZIZIZ

Wydawcy: Jan Mnochy i Ska. | Królewska Huta, 1 lutego 1929 r. | Red. odp.: A. Gojtka w Katowicach.

OSTRZEŻENIE:

Naszych Szanownych Abonentów ostrzegamy przed prowokatorami, naszymi wrogami, którzy krążą po powiatach i odmawiają nam naszych członków, żeby niepłacić ubezpieczenia i rzucają złą opinję na czasopismo „Ognisko Domowe".

Szanowni Czytelnicy! do zarządu wkradli się ze „Strzechy Rodzinnej" podsunięte indywidua jak Szadko, Malcharek i inni, którzy dążyli do zniszczenia „Ogniska Domowego", co się im jednak nieudało, bo zostali wyrzuceni i będą odpowiadać za swoje czyny przed sądem karnym.

Przed podobnymi prowokatorami ostrzegamy całą Sz. Publiczność. Wydawcy

Rok II. Dwutygodnik Nr. 3

OGNISKO DOMOWE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, KULTURALNYM I OŚWIATOWYM, UBEZPIECZAJĄCY SWOICH STAŁYCH ABONENTÓW W RAZIE NIESZCZĘŚLIWEGO WYPADKU. ZZZ

Wydawcy: Jan Mnochy i Ska. | Królewska Huta, 1 lutego 1929 r. | Red. odp.: A. Gojtka w Katowicach.

Od Redakcji.

Pisząc do Szan. Społeczeństwa, złożonego w przeważnej części z pracownika, nie potrzebuję uzasadniać tej wielkiej prawdy, że wszystkie zjawiska, otaczającego nas życia, powstały w drodze stopniowego rozwoju, dzięki pracy poprzednich pokoleń i zasobom przez nich nagromadzonym.

Któż to bowiem lepiej od pracownika potrafi odczuwać i zrozumieć to nieustające folowanie nowych form bytu, narastających według niezłomnych praw jak przyrodę społeczeństwu na podłożu od wieków trudem i znojem ludzkim użyźnionem i sięgających głęboko korzeniami swemi w prace poprzedników, którym w znacznej części zawdzięczamy wyniki obecnej naszej pracy.

Komu wśród pracowników społeczeństwa nie jest znana ta nierozerwalna więź pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, stanowiąca nieodzowną podstawę rozwoju ludzkiej twórczości i ujawniająca się nietylko w sferach przeobrażeń materjalnych, lecz i w dziedzinie duchowej kulturalno-narodowej.

Dlatego też, gdy dziś patrzymy na obecny stan rzeczy i naszych niektórych wodzów narodu i codziennie czytamy o ich brudach materjalnych, oszustwach i t. d. w rzeczywistości ogarnia wstyd każdego uczciwego polaka co się dzieje u nas w kraju w ciągu ostatnich 10 lat.

Szan. Czytelnicy nie wolno nam zapominać o tem:

Że budowali Rzeczpospolitę Polską na gruncie przygotowanym przez wieloletnie wysiłki jednostki, którzy rzucone ziarno pomiędzy lud, nie dali sobie wyrwać za żaden skarb świata i bronili kiełkowanie własną krwią.

Że budowali nam ojczyznę wódcy narodu uczciwi, a nie obecni nieuczciwi materjaliści, którzy nas prowadzą niezgodnością i osobistym zyskiem do ruiny.

Tym cichym działaczom rzucania ziarna i tym bojownikom wytrwałym, nieugiętym w łamaniu przeszkód musimy stanąć po ich boku i bronić tego prawa uczciwości, sforności, miłości dla bliźniego, które nam w nasze serca zasiali.

A obecni niektórzy wodzowie to ziarno zasiane przez naszych dziadów i pradziadów zdeptują, żeby więcej nie rosło.

Z chwilą swego powstania, nie zapisywało białych kart w dziedzinie pracy kulturalnej, bo pierwiastki tej pracy istniały w postaci bądź nabytego doświadczenia, bądź zorganizowanych ognisk pracy, bądź zastępu ludzi wyrobionych w pracy publicznej i złączonych wspólną ideą przewodnią.

Zresztą i sama idea narodowa każdego polaka, tkwiła na niwie pracy, którzy szamocąc się z przeciwnościami i walcząc zarówno z przemocą wroga.

Obecnie niektórzy wodzowie (których imieniem zatrzymujemy w zapasach) z obojętnością stwarzają w ówczesnych warunkach nieraz dla osobistego dobra, w organizacji, ukrywając istotne swe cele przed podejrzliwym okiem władz.

Społeczeństwo musi ze swej strony dbać o to, by ich wodzowie oczywiście mieli na myśli pracę korzystną dla kraju (gospodarkę) i stali się prawdziwie wykładnikiem żywotnych interesów.

Żeby nie uważali Sejmu i t. d. za furtkę, przez kórą można się przemycić mając zbrodnie kraju i publiczne na świadomiu.

Smutna to walka pomiędzy swoimi, dążenie społeczeństwa, a wrogiemi siłami, krępującemi jego rozwój, przewaga była bądź co bądź po stronie tych ostatnich.

Albowiem najlepsze chęci ówczesnych działaczów, nie mogą wytworzyć poważnej organizacji sił pracy społecznych i gospodarczych w ciasnych ramach w jakich zamyka je system (konstytucja) absolutum.

A. G.

W SKARBCACH NOWEGO JORKU.

CZĘŚĆ III.

OPOWIADANIE PRZEZ A. M.

„Depot I. — Depot II. — Depot III. — Jeżeli się nie mylę, to te klucze są do kas pancernych. Ale gdzie je znaleść?“ To mówiąc spojrzał na rysunek w ramach nad biurkiem. Acha, to jest plan domu. Tu jest brama, tu są kasy, tu jest kancelarja dyrekcji, tu są schody do piwnic, a z piwnic prowadzi mały korytarzyk do wielkich kas, oznaczonych czerwono — więc brawo, mam już wszystko.

4.

Bez trudu znalazł drogę. Udało się mu otworzyć kasy a zapalniczka oddała mu dobre usługi. Musiał otworzyć jeszcze zamek bezpieczeństwa i stracił już cierpliwość przy tem, ale jakoś namacał sprężynę, odezwał się dzwonek i drzwi otworzyły się same przed nim.

Przez chwilę stał Thompson zdumiony, potem przeskoczył próg i stanął w wielkiej, sklepionej sali, obitej żelazem. Przytłumione światło oświecało wystarczająco tę salę; skąd to światło pochodziło, niemógł odkryć, bo okien nie było nigdzie. Przy ścianach, obitych stalowemi płytami stały szeregiem stalowe szafy. Środkiem sali był szereg żelaznych kas.

Oczy Thompsona zaczęły pałać, oddech był przyspieszony. „Przecież dobrze przypuszczałem“ — szepnął on do siebie — jestem w opancerzonych kasach banku. Tutaj już muszą być miljony a nawet miljardy przechowane — a tam dalej musi być jeszcze więcej. Muszę zaraz zobaczyć“.

Przebiegł przez salę i otworzył drugie drzwi. Całe góry złota i srebra w sztabach zabłysły przed nim. Aż mu się zaćmiło w oczach.

Nie słyszał, że dzwonek zaczął na nowo dzwonić, nie zauważył, jak w kilku sekundach potem ciężkie, żelazne drzwi, które się same przed nim otworzyły, teraz się znowu same zamknęły. Upadł na kolana i tarzał się w złocie. Poranił sobie palce przytem aż do krwi i śmiał się przytem, śmiał się jak warjat... Po dłuższym czasie podniósł się i powrócił do pierwszej sali. Nie więdząc dobrze, co czyni, otworzył on żelazne szafy. Były one napełnione świeżo bitemi monetami. Otworzył jedną kasę -- tam leżały całe stosy nowiuteńkich banknotów.

Znowu rozlekł się obłąkany śmiech w tych pancernych komorach. Gdy się cokolwiek uspokoił pomyślał, aby coś zabrać ze sobą. Napchał on tyle pieniędzy papierowych do kieszeni, ile się zmieściło. Ale to mu było jeszcze za mało. „Muszę sobie przynieść worek z góry albo coś podobnego“, mówi do siebie i chce wyjść. Ale w tem... o rany Boskiei... Drzwi były zamknięte. On poruszał niemi, ale nie otworzyły się.

Paraliżujący przestrach opanował go na tę myśl. „Co będzie, jeżeli nie będę mógł wyjść?... Głupstwo! Ja mam przecież klucze“. Szukał on nawet i przyświecał zapalniczką. Nigdzie nie było otworu ani dziurki od klucza. „Drzwi... nie... mogą... być... od środka... otwarte“... wybełkotał blednąc.

„Jeżeli nie znajdę innej drogi, tom zgubiony“.

Załamywał ręce i krzyczał w oszalałej trwodze. Jęcząc przebiegał sale. Znalazł wprawdzie jeszcze trzecie drzwi, ale te prowadziły znowu do piwnicy pancernej a z tej nie mógł wyjść, musiał się wrócić.

„Jestem zgubiony“ ryczał on „muszę tu tu z głodu zginąć, chociaż mam miljony i miljardy! --

CYGANKA.

Jestem cyganką, mój piękny panie,
I przyszłość czytam za szarą mgłą
Siostry cyganki, bracia cyganie
Mówią, żem piękna. Czy prawda to?

Lecz ja nie wierzę, bo wierzyć trudno,
Bo ja mych nie znam uroków lic.
Niech inni mówią, że jestem cudną
Wtenczas uwierzę. — Pan na to nic?

Mówią, że jestem niebios pieszczocha,
Że wszystko mogę, co tylko chcę
I że mnie każdy szczerze pokocha,
Odpowiedz, proszę. No tak, czy nie?

Mówią, że w moje błękitne oczy
Bóg lazurowy zaszczepił szał.
I wlał w nie urok rajskich przezroczy
Czy pan tu długo tak będzie stał?

No powiedz, proszę, jakie twe zdanie,
Chcesz twe milczenie całusem kryć.
Dobrze, lecz za to mój piękny panie.
Każę ci moim na wieki być!

Andrzej Gojtka.



Te przeklęte pieniądze zgubiły mię!“ krzyknął prawie ze wściekłością.

Odrzucał teraz wszystko, co miał przy sobie i deptał nogami. Darł banknoty, rozsypywał monety złote i sztaby po wszystkich kątach i krzyczał wściekle: „To przeklęte złoto — te przeklęte pieniądze.

ZDANIA

Obowiązkiem mężczyzny jest zarabiać,
Obowiązkiem kobiety rozumnie wydawać.

❁

Kobieta młoda, delikatna, dbała, pracowita,
Potrafi wedrzeć się w najbardziej zatwardziałe [serce mężczyzny.

❁

Zaproś do kieliszka — wierni towarzysze,
Gdy wezwiesz do czynu — wszystko to kołysze!

❁

Za wydane na alkohol sumy miljardowe,
Cztery takie państwa Polskie można kupić nowe!

❁

Horacy, a właściwie Quintus Horatius Flaccus, najznakomitszy poeta rzymski doby Augustowej, który z takiem uniesieniem pisał o pocałunkach kobiet, gdyby dziś ożył, nie mógłby już, chyba powtórzyć słów swoich, że Wenus słodziła je esencją nektaru!

❁

Gdyby nie było głupich,
Nie byłoby mądrych —
Gdyby nie było biednych,
Nie byłoby bogatych.

Więc powinni o tem pamiętać mądrzy i bogaci,
Że nie jest to wyłącznie ich zasługa, że są [mądrzy i bogaci.

❁

Małżeństwo nie jest sprawą tylko miłości, hygjeny, ekonomji narodowej, urody, uczucia lub wspólnoty myśli.

Tem mniej jest ono wyrazem zwykłego zadośćuczynienia ludzkiej pożądliwości lub interesem.

Nie małżeństwo — to zbiór wszystkich tych czynników.

Ażeby małżeństwo uczynić szczęśliwem, bardziej potrzeba jest wspólnota charakterów, niż wspólnota duchowa.

Andrzej Gojtka.

Pobiegł tam, gdzie leżały sztaby złota i srebra — rzucał niemi na ziemię i deptał je. W tem nagle poślizgnął się i upadł na ziemię a te sztaby złota zaczęły się staczać na niego i coraz bardziej przygniatały go. On ratował się i wytężył wszystkie siły, aby ten złoty ciężar zrzucić z siebie... dał się słyszeć głuchy upadek... mister Thompson obudził się i znalazł na trawniku obok ławeczki leżącym. W około szumiały drzewa, śpiewały ptaszki a w pewnej odległości sterczała wieża widokowa.

Thompson miał twarz zgłupiałą. Poznał, że jest tam, dokąd poszedł z domu — w parku wolności Nowego Jorku; że więc to wszystko o trzęsieniu ziemi i powodzi, o trupach i zniszczeniu, o wilach i miljonach, o kasach opancerzonych i kupach złota, było tylko strasznym ciężkim snem.

Ale z tem poczuciem była połączona też niestety ta nie bardzo wesoła myśl: „Tompsonie ty jesteś zawsze jeszcze... biedakiem“!

Ale szczególna rzecz, ta myśl nie usposabiała go teraz wcale smutno, przeciwnie, on odetchnął formalnie z ulgą. Prawie wesoło podniósł się i poszedł do domu.

— — — — — — — — — — —

Z wesołem pozdrowieniem „Dzień dobry! Jak się macie moi kochani“! wszedł Thompson do swego mieszkania. Jego żona spojrzała na niego zdziwiona radośnie, odpowiedziała wesoło na jego powitanie i mówi doń: „Cóż to się stało, mój mężusiu? Ty jesteś sobie wesołym, jak Cię już dawno nie widziałam, czy może spotkało Cię gdzie jakie szczęście“?

„Szczęście nie“, rzekł mąż poważnie, „ale straszny sen przyprowadził mię do rozumu i wzruszył moje sumienie. Chodź, Mary, siadaj sobie tu przy mnie, ja mam Ci wiele opowiedzieć“! I opowiedział żonie wszystko. Przy końcu ucałował jej ręce i mówi: „Czy możesz mi przebaczyć Mary i dopomóc mi do zmiany“?

Na to uściskała go żona, ucałowała serdecznie i mówi: „O, mój kochany mężu, mój mężusiu złoty! Wszystko jest przebaczone i zapomniane? O, jakże pięknem jest teraz życie! Jakże ja się cieszę, jak się cieszę“!

Mister Thompson rozpoczął teraz nowe życie, życie pracy i odmawiania sobie, ale też życie pełne zadowolenia i szczęścia. (Koniec).

Zakochany:

iesz, jestem tak bardzo zakochany w pięknej Zosi, że już przez pół zwarjowałem.

Dlaczego się więc z nią nie ożenisz?

Powiedziałem ci wszak, że dopiero przez pół zwarjowałem.

Z ŻYCIA CODZIENNEGO.

Powietrze, którem oddychamy zawiera nietylko gazy, niezbędne do podtrzymania życia: zawiera ono również w mniejszym lub większym stopniu zawieszone w niem pierwiastki stałe. Te stałe elementy, które wdychamy w siebie, składają się z substancji mineralnych i organicznych.

Przekonać się o tem można łatwo, przepuszczając promienie słoneczne do ciemnego pokoju przez wąską szparkę w oknie. Zauważymy wówczas w świetle promieni zwieszone w powietrzu wspominane substancje. Oddawna podejrzywano, że powietrze kryje w sobie zarazki gołem okiem niewidzialne, wywołujące rozmaite choroby. Pierwsze jednak w tym kierunku dociekania wiążą się z wynalezieniem mikroskopu przez Loewenhoeck'a, Ehrenberga oraz Gaultier de Clanbry'ego. Obecność pierwiastków organicznych w powietrzu stwierdzona została niewątpliwie przez Ludwika Pasteur'a w r. 1862. Odtąd też zaczęły się liczne badania, które wykazały, że żywe mikroorganizmy stale przebywają w powietrzu większych skupień ludzkich, w miastach, na salach szpitalnych, salach fabrycznych, w kurzu mieszkaniowym i mogą za pomocą wdychaniu dawać początek rozmaitym ciężkiem nieraz schorzeniom.

Gdy chodzi o kurz mieszkaniowy, to źródło jego powstania bywa dwojakie: zewnętrzne, gdy wprowadzany bywa przez wiatry, na obuwiu, odzieży i t. p. wewnętrzne, gdy kurz pochodzenie swe zawdzięcza konstrukcji budynków, gdzie każdy ruch człowieka sprzyja jego powstaniu.

Ażeby dać przykład tej ilości bakterji jaka gromadzi się w miastach bardziej zaludnionych i ożywionych ruchem pieszym i kołowym oraz w mieszkaniach utrzymanych pod względem hygjenicznym bez zarzutu, przytoczymy podane przez prof. Mignela analizy codzienne powietrza sypialni na 3 piętrze dużego miasta, prowadzone przez 6 miesięcy. Wykazują one zimą obecność 6500 bakterji w 1 metrze sześciennym i 3850 wiosną. Wesse wykazał dla Berlina 6450 bakterji w 1 metrze sześciennym. Mignel stwierdził obecność 4.500 bakterji w pokoju nowowybudowanego i niezamieszkałego jeszcze pokoju.

Co do szkodliwości kurzu to pomijając jego wpływ wysoce szkodliwy na wszelkiego rodzaju tkaniny, jak meble, portjery, odzież i t. d. niedające się tak łatwo odkurzyć zwykłym sposobem, a więc przez wytrzepanie, oczyszczenie szczotką i miotełkami, gdzie kurz przerzucany tylko bywa z jednego miejsca na drugie, a nie usuwany, zatrzymamy się na jego wpływie na zdrowie ludzkie.

Większość zarazków, zawieszonych w kurzu, należy do gatunku saprophytów, których stosunek do innych bakterji wyraża się jak 3:1.

Normalnie człowiek oddechający powietrzem, zawierającem kurz i drobnoustroje, zabezpieczony jest od wdychania ich wgłąb, dzięki śluzowi, pokrywającemu powierzchnię dróg oddechowych, posiadajęcemu rzęski o ustawicznym ruchu na zewnątrz, usuwające wszystko, co na jego powierzchnię się dostanie.

Wszystko to jednak nie zapobiega przedostaniu się kurzu i zarazków do pęcherzyków płucnych, co zostało dowodnie wykazane na sekcjach.

Dürck ustalił w kurzu powietrznym, obok mniej szkodliwych drobnoustrojów, również obecność laseczników wąglika (karbunkułac) tężca, gruźlicy, blonicy, oraz pneumokoków, gronkowców i pacierkowców.

Courmont podaje, że kurz jest najgroźniejszym nosicielem grypy i dlatego w większych skupieniach ludzkich w czasie epidemji jej w roku 1917 i 1918 surowy był zakaz zamiatania na sucho.

Nie może więc być rzeczą obojętną, jakiem powietrzem człowiek oddycha: czystem, czy też nasyconem wszelkiego rodzaju miazmatami.

Zrozumiała stąd staje się dążność przebywania przynajmniej przez krótki przeciąg czasu mieszkańców większych miast na wsi i nad morzem, gdzie powietrze wolne jest od niepożądanych substancji.

A już największą groźbę przedstawia pobyt w miastach, pozbawionych dobrych szczelnych i dających się z łatwością oczyszczać bruków i wytwarzających masy kurzu, w którym zawieszone są gromadnie laseczniki gruźlicy, tak bardzo dziś rozpowszechnionej u nas choroby, zbierającej bardzo liczne ofiary, głowy rodzin w latach największej wydajności pracy i nie czyniącej różnicy pomiędzy salonami a suterenami.

Zachodzi pytanie, jak z kurzem, tym wrogiem ludzkości walczyć?

Niewątpliwie, ażeby osiągnąć cel pożądany, walczyć wypada na dwa fronty. Raz więc władze miejskie winny na modłę Anglji i Ameryki, gdzie kurz uliczny znany jest młodszej generacji jedynie z opowiadania starszych.

Podjąć przeróbkę jezdni dzisiejszych i bruków, wytwarzających same przez się, przez zużycie, kurz o charakterze ostrym atakującym drogi oddechowe, przed którym ludzkość kryć się musi po bramach

domów, zakrywać nos, usta, oczy, po przejeździe każdego samochodu, a szczególnie ciężarowego, pokrywając nawierzchnie asfaltem, t. zw. kolasem.

Do zrealizowania tego pierwszorzędnego pod względem zdrowotnym zarządzenia miasto, mimo przeżywany dziś kryzys ekonomiczny, już przystąpiło biorąc przykład żywy z Pragi Czeskiej, która w zrozumieniu walki z kurzem ulicznym prowadzi już tę pracę i niezadługo miasto okalać będzie pas jezdni asfaltowej kolasowej, którego obwód wyniesie 50 kilometrów.

Drugim frontem, na którym należy prowadzić walkę z całą bezwględnością, jest uświęcone tradycją bezmyślne, niezgodne z najsłabiej zrozumianą kulturą, stanowiące największą plagę miast naszych, wytrzepywanie na dziedzińcach, całego gromadzonego miesiącami w mieszkaniach kurzu ze wszystkiemi kryjącemi się w nim zarazków.

Na szczęście, zarządy miast posiadają już opracowane przez Wydział Zdrowia Publicznego nowe przepisy o utrzymaniu w czystości dziedzińców, które przewidują zupełny i słuszny zakaz trzepania, wogóle na dziedzińcach i domy powinne zaopatrzyć sobie wspólne odkurzacze.

Jeżeli jak już wyżej zaznaczyłem, kurz kryjący w sobie rozmaitego gatunku szkodliwe dla zdrowia zarazki, zawiera również długo żyjące w nim laseczniki gruźlicy, które unosząc się w powietrzu, zarażać mogą tą ciężką i w wielu razach nieuleczalną chorobą, trwającą lata całe i tworzącą tym sposobem długotrwałe ogniska zarazy, to już tem samem jasnem się staje dążenie czynników, którym powierzona została opieka nad zdrowiem ludności, by każdy kurz, bez względu na jego pochodzenie, ulegał zniszczeniu. Temu zaradzić mogą o ile chodzi na razie o kurz mieszkaniowy.

Fabryczne wprowadzone niedawno w użycie aparaty aspiracyjne, przy których kurz mechanicznie zostaje wessany i spalony!

Takie tylko rozwiązanie sprawy walki z kurzem posiada podstawę zasadniczą, zgodną z zasadami hygjeny życia codziennego, taki też jest obowiązek każdego hygjenicznie myślącego obywatela, któremu na sercu leży zarówno jego własne zdrowie, jak i zdrowie jego współobywateli.

Idźmy z postępem czasu w imię dobra wspólnego i odrodzenia narodu! A. G.

Ty jesteś jak zdrowie.
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił.

(A. Mickiewicz).

JAK DŁUGO TRZEBA SYPIAĆ?

Znany chirurg i pełen polotu pisarz dr. Karol Ludwik Schlich powiedział raz:

„Prześpij, jeżeli posiadasz talent do tego, spokojnie całą połowę swego życia, przeżyjesz w dwójnasób drugą jego połowę".

W powiedzeniu tem tkwi mądra ocena ważnego i niedocenionego, zwłaszcza przez młodzież i nierozumnych wychowawców, środka wypoczynkowego i krzepiącego, jakim nas obdarzyła natura na pożytek ciała i duszy.

Dla dzieci i młodzieży życie posiada tyle uroku, że dla ułożenia ich do snu wypada codziennie walkę z niemi toczyć.

O tyle trudniejszym bywa ranne wstawanie. Zarówno podnięta, jak i zmęczenie wyczerpują się i sztuką jest obydwa te przejawy doprowadzić do równowagi tak jak tego wymaga życie praktyczne.

Snu nigdy nie bywa za dużo.

Potrzebę snu nie można utożsamiać z lenistwem. Kto pragnie snu, ten go potrzebuje. Wielu doznałoby więcej radości życia i byliby mniej nerwowi, gdyby się należycie wysypiali.

Sen do północy uważany bywa za najbardziej krzepiący. To nie jest słuszne.

Główny nacisk kłaść należy na potrzebną długotrwałość snu. Wszak po północy zaczyna się życie wielkomiejskie, a z niem hałasy wszelkiego rodzaju, rodzi się światło dzienne, a wszystko to odbiera spokój, potrzebny dla snu. Przez sztuczne zasłony okienne można to wszystko stłumić, hałasu usunąć zupełnie się nieda.

Dla spokojnego snu ważną jest rzeczą nieprzeładowywanie żołądka przed ułożeniem się do łóżka.

Sen po obiedzie stanowi dla niektórych środek pobudzający do pracy, a nawet zdolności do pracy wogóle, dla innych nie ma on znaczenia, ci sypiają nocą lepiej bez drzemki poobiedniej.

Oczywiście, jeden i ten sam kapelusz nie na wszystkie głowy się nadaje.

GOSPODARZ

Każdy człowiek winien mieć jasne światło przy pracy zawodowej.

O tak jak jest jasna lampka na sali fabrycznej, przyświecająca robotnikom przy pracy, tak rachunkowość ułatwia pracę każdego gospodarza.

Ona im przyświeca w najsubtelniejszych momentach ich wykonności i oszczędności.

Ona ich chroni od omyłek, które każdy człowiek popełniać może, szczegolnie gdy błądzi w ciemnościach.

Gospodarz, prowadzący rachunki, będzie rozumiał potrzeby żony, córki, syna i odwrotnie, żona, dzieci dorosłe będą rozumiały potrzeby ojca i gospodarstwa, gdy ojciec prowadzi rachunki. Układanie budżetu gospodarczego musi obejmować potrzeby tych wszystkich wyżej wymienionych, a potrzeby ich mieścić się muszą w ramach możliwości.

Przez prowadzenie rachunkowości, gospodarze będą mogli mieć uzasadnienie swych potrzeb życiowych i będą mogli odeprzeć niegodziwe paszkwile, (wyzysk żydów) czyniące gospodarza w oczach społeczeństwa niegramotnego.

Kiedy zaczniecie rachunkowością, staniecie się członkiem oszczędności, a to Was doprowadzi do Pocztowej Kasy Oszczędności lub Miejskiej Kasy Oszczędności, Reifeisenny i t. d. i staniecie się gospodarzem na starość zabezpieczonym. A. G.

ZA 8 GODZIN SŁUŻBY W ŚWIĘTA SPECJALNE WYNAGRODZENIE.

Zgodnie z uchwałą Rady Ministrów, wszystkie urzędy państwowe wypłacać będą niższym funkcjonarjuszom specjalne wynagrodzenie za służbę w niedzielę i święta. Służba ta musi jednak wynosić najmniej 8 godzin t. j. czas przepisany w dnie powszednie.

O HODOWLI I OPOSIE ŚWIŃ.

Ponieważ główne zapotrzebowanie i sezon na karmniki przypada na czas od września do marca, radzą węgierscy hodowcy postępowanie następujące:

Wszystkie proszenia macior koncentrujemy na czteromiesięczny okres wiosny od marca do lipca, tak, aby świnie na rok przyszły w wieku 15—18 miesięcy były kompletnie upasione i gotowe do zabicia.

Przy tym systemie maciory proszą się tylko raz do roku. Aby zaś przez następne pół roku nie trzymać napróżno macior jałowych, bezpośrednio po odsadzeniu prosiąt stawiamy je na opas, otrzymując sztuki w pełni dojrzałości rzeźnej na okres pożądany.

Prosięta zaraz po odsadzeniu sprzedajemy, z wyjątkiem kilku najładniejszych świnek, które pozostawiamy na chów.

Te w wieku 8 miesiecy, dopuszczamy pod knura, a że brzemienność u świń trwa 4 miesiące, otrzymamy w 12 miesiącu życia świni, prosięta w odpowiednim czasie, bo od marca do lipca, z któremi postępujemy jak wyżej.

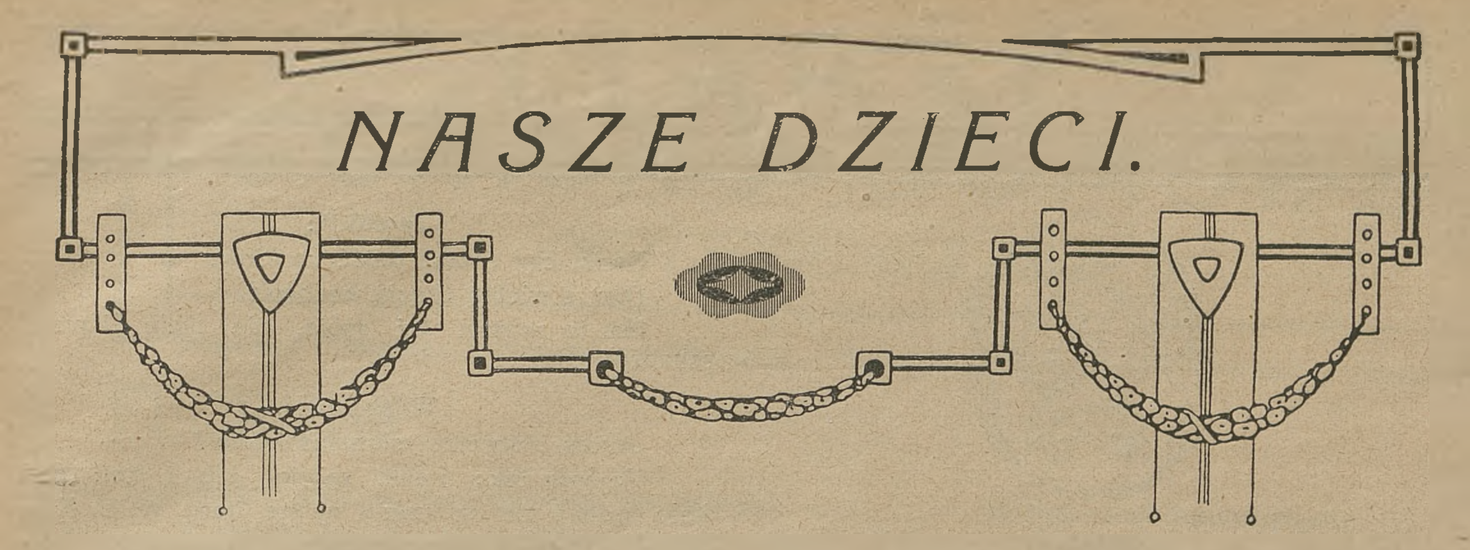
Obawa, że świnia rzucając pierwsze prosięta da zwykle mniej niż w następnych miotach jest nieuzasadnioną, gdyż doświadczenia wykazały jedynie minimalną różnicę wyrażającą się w średnim stosunku 0.98 na korzyść drugiego, trzeciego i czwartego miotu w porównaniu z pierwszym, poczem w następnych miotach ilość urodzonych prosiąt zwykle maleje.

Powyżej powiedziane odnosi się do późno dojrzewającej świni krajowej mniej lub więcej uszlachetnionej. Wcześnie dojrzewająca świnia czystej krwi angielskiej może już jako roczniak, a nieraz wcześniej osiągnąć pełną dojrzałość rzeźną i tu postępowanie z normowaniem czasu proszenia musiałoby być odpowiednio zmienione.

NADZÓR WETERYNARYJNY NAD TARGAMI, JARMARKAMI, RZEŹNIAMI, MLECZARNIAMI, FABRYKI SERÓW I T. P.

W nr. 65 Dziennika Ustaw ogłoszone zostało rozporządzenie ministra rolnictwa o nadzorze weterynaryjnym nad targami, jarmarkami pokazami i przetargami zwierząt, rzeźniami, mleczarniami, zakładami tuczenia dla celów przemysłowych, krowiarniami, wspólnemi pastwiskami, stajniami zajezdnemi i przedsiębiorstwami dla zwierząt.

Rozporządzenie powyższe weszło w życie.



W kraju węgierskim u podnóża gór karpackich, mieszkała na ustroniu w nędznej chacie uboga wdowa. Zima była sroga, a biedna matka leżała w łóżku, ciężką chorobą nawiedzona.

Nadzieję i pomoc stanowiły dwa chłopczyki, z których starszy dopiero dwanaście, a młodszy dziewięć lat liczył.

Ażeby izdebkę chorej matki cokolwiek módz ogrzać, wybrali się chłopcy z saneczkami do boru po drzewo. Droga prowadziła koło kościoła. Młodszy na widok ten, temi do starszego odezwał się słowy:

— Kochany bracie! dziwny mnie niepokój w tej chwili ogarnął; wiesz co wejdźmy do kościoła i poprośmy Boga, aby nas od nieszczęścia zachować raczył.

— Jak najchętniej! — odrzekł na to starszy.

Wstąpili obaj do kościoła, a upadłszy na kolana, szczerze się modlili.

Po skończonej modlitwie, wyszedłszy z kościoła, rączo podążyli do boru, mimo dokuczliwego zimna i wielkich zasp śnieżnych. Przybywszy do boru, zaczęli zbierać suche gałęzie i kłaść na sanki. W tem spostrzegają dwa wilki, wprost na nich biegnące. O ucieczce mowy być nie mogło, a kryjówki bezpiecznej — ani śladu.

Niechybnie biedne dzieci staną się pastwą dzikich bestji. W tej strasznej chwili nie traci starszy z braci przytomności, ale pełen zapału rzecze do młodszego:

— Wnijdź pod sanki, pokryję cię gałęziami, a ty, siedząc cicho módl się, gdy ja bronić będę ciebie i siebie.

— Zlituj się nad nami, Boże miłosierny — modlił się brat młodszy, — zlituj się nad nami i matką naszą, którą z naszą śmiercią głód i nędza czeka!

Z tą modlitwą na ustach schował się pod saneczki i zebrane gałązki, a starszy ująwszy w dłoń siekierę, stanął przy nim, silny wiarą i nadzieją w Boga i pomoc Jego świętą.

Kiedy się pierwszy wilk dość blisko przysunął, uderzył go w łeb siekierą tak silnie, że dziki zwierz bez życia na ziemię padł.

W tej chwili nadbiega wilk drugi, chwyta chłopca za rękę i o ziemię powala. Broni się starszy ile sił starczy, i szamoce ze zwierzęciem, gdy nagłe młodszy wydobywszy się z pod gałęzi, chwyta za leżącą tuż siekierę, zadaje wilkowi kilka silnych cięć w plecy. Rozwścieklony zwierz, puszcza teraz starszego, a rzuca się na młodszego z braci, ale z tej chwili korzysta starszy, wolną ręką ujmuje siekierę i silnem uderzeniem powala dziką bestję, osłabioną już razami zadanemi przez młodszego braciszka.

Widocznie opatrzność Boża wywiodła dwoje słabych i nieudolnych chłopców z tak groźnego niebezpieczeństwa. Uznali ją też owi biedni, ale dobrzy chłopcy, gdy upadłszy na kolana, ze łzami szczerej wdzięczności za cudowne ocalenie dzięki swe Bogu złożyli. To też chłopcy powstawszy po ukończonej modlitwie, nakładli suchych gałęzi na saneczki, a położywszy na wierzch dwie ubite bestje, patrzeli ze strachem i zgrozą na te otwarte paszcze, które im śmierć zgotować miały.



Już niema:

Matka bijąc chłopaka powiada: Sankujesz się po całych dniach a masz wyraźnie w katechiźmie: „Z jakim przystajesz, takim się stajesz“.

Tego proszę mamy niema w katechizmie.

Ale ja ci zakazuję uganiać!

A to pewnie tam masz: Czcij ojca i matkę twoją?

Było proszę mamy — ale Margit wydarła tą kartkę z katechizmu.

ŻARTY



Różnica:

Jaka jest różnica pomiędzy wilkiem w klatce a lekarzem w karecie?

Żadnej nie ma różnicy.

Obydwaj są nieszkodliwi, gdy siedzą w zamknięciu.

Uroda kobieca:

Lekarz do męża chorej:

Nie mogę tego przed panem ukryć, że żona pańska nie podoba mi się!!

Mąż: Panie doktorze, mamy więc jednakowy gust!

Raj utracony:

Pewien anglik chwalił raz przed cudzoziemcem „Raj utracony" Miltona, twierdząc, iż arcydzieło to chluba narodu.

A opis piekła, zawołał w uniesieniu, „powiadam panu jest rzeczywiście niebiański".

Zawiódł:

Kazik, czy chcesz pójść do kina?

Ależ z wielką chęcią kochanie.

No, to proszę, idź sobie, nie będę Ci przeszkadzał.

W sądzie:

Jesteś oskarżony, skradłeś konia?

To było tak: Panie sędzio. Ide i koń stoi koło drogi i ma na uzdzie wybite litery W. B. K. a ja sobie to wykalkułowałem, że W. to znaczy Wojciech, B. to bierz, a K. to konia, więc wzionem konia jak swego.

Ma swoje:

A to mi w uchu dzwoni.

To znaczy, że usłyszysz jakąś dobrą nowinę.

Gdzietam! to znaczy, że mi majstrowa palnęła pięścią w ucho.

W kontroli na granicy:

Ponury, brodaty Icek z Będzina, chce przeszwarcować, wedle przykazań Mojżesza worek z herbatą.

Co tam jest w tym worku? zapytuje rewizor (celnik).

Jedzenie dla kanarków odpowiada śmiało Icek.

Rewizor nie dowierza. — Otwiera worek — zagląda — Ależ panie! przecież kanarki tego nie będą jadły.

Nu, mam zmartwienie!? odpowiada Icek.

DZIAŁ MATRYMONJALNY.

Uwaga: Szanowni Czytelnicy proszeni są o jaknajszersze korzystanie z powyższego działu.

Głodna miłości i ciepła, ukojonych dłoni mężczyzny a nie mająca odpowiednich znajomości, pragnie poznać w celu małżeńskim panów inteligentnych, na dobrych stanowiskach, o nieprzeciętnych naturach, wzrostu średniego, dobrze zbudowanego, zdrowy, do lat 30, narodowości obojętnej, religji katolickiej, wesołych, miłych, nie szukających w swej przyszłej żonie wspólniczki z kapitałem i pełną kieszenią, lecz żony przyjaciółki z sercem, kobiety bogatej w zalety duszy — istoty — co w przyszłych dniach bólów i zmęczenia ukojną dłonią uśpić zdołałaby cierpienia. Mam lat 24 jestem miłą, sympatyczną, nie brzydką, wesołą, brunetką, o niebieskich oczach, zgrabna, szczera, nieprzeciętnie inteligentną, pochodzącą z niegdyś bardzo zamożnej rodziny, lecz przez wojnę zubożałą. Oferty nadsyłać do adm. „Ogniska Domowego" pod „Bajka życia".

Młody przystojny, muzykalny kawaler, na stanowisku, z powodu braku czasu, pragnie tą drogą poznać pannę miłą, łagodnego charakteru, wesołą o ile możności krawczynię z okolicy Katowic nie starszą jak 25-letnią. Oferty nadsyłać do adm. „Ogniska Domowego" pod „Franek".

OGNISKO DOMOWE
DEUTSCHE BEILAGE

FEBRUAR

Landwirtschaftliche Verrichtungen im Februar.

In diesem Monat ruht die Pflugarbeit auf dem Felde; nur in seltenen Fällen kann man Hafer oder Mohn säen. Ein gutes Mastfutter für die Stallmast der Schweine sind Kartoffeln, Magermilch, Schlempe und Treber mit Hülsenfrüchten und etwas Sauerteig. Auch die Mast der Schafe beginnt: Leinölkuchen und geschrotete Körner mit etwas Salz. Es ist gut, die Schafe vor der Einstellung zur Mast zu scheren, weil sie samt der Wolle weniger schnell zunehmen. Die Pfropfreiser für die Obstbäume müssen jetzt geschnitten werden. Die Bienenstände sind zu ergänzen, denn bei warmen Wetter ist der Transport schwieriger. Um Lichtmeß sind die Wintervorräte in der Scheuer zu überprüfen, denn es ist erst die Hälfte der Zeit für die Winterfütterung herum. Die Hechte sind in diesem Monat am besten.

Wetter- und Bauernregeln.

Lichtmeß im Klee, Ostern im Schnee. — Wie das Wetter in der Nacht vor Petri Stuhlfeier ist, soll es vierzig Tage lang sein. — Gefriert es in der St. Petersnacht, so gefrierts hernach nicht mehr. — Wie das Wetter am Aschermittwoch, so soll es die ganze Fastenzeit sein. — Wenn im Hornung die Mucken geigen, müssen sie im Märzen schweigen, wenn's der Hornung gnädig macht, bringt der Lenz den Frost bei Nacht. — Sonnt sich der Dachs in der Lichtmeßwoche, geht auf vier Wochen er wieder zu Loche. — St. Mathäus kalt, die Kälte lang anhalt. — St. Dorothee, bringt den meisten Schnee. — Heftige Nordwinde im Februar, vermelden ein fruchtbares Jahr; wenn Nordwind aber im Februar nicht will, so kommt er sicher im April.

VOLKSTYPEN — BILDER AUS RUSSLAND

Friedlich und kühl fließt „Mütterchen Wolga" durch das Land über das sich die Schatten der Verzweiflung gesenkt haben.

An einem Nachmittag spät fuhren wir in die Krümmung des Flusses ein wo am Ostufer ein Quai von zwei Schiffen im Sande verankert, den Landungsplatz Starropol erkennen läßt. Vielleicht fünfzig menschliche Gestalten bewegten sich hier auf dem Sande oder standen in Gruppen zerstreut über dem Hügel der sich eine halbe Meile weit dahinzog.

Als unser Öldampfer uferwärts zu hielt und Landungsmanöver erkennen ließ, erschienen unter den Bäumen auf dem Hang des Hügels Gestalten eine nach der andern. Hinter ihnen glühten einige Feldfeuer von denen der Rauch wirbelnd in die Höhe stieg. Die Gestalten wurden mehr und jetzt unterschieden wir sie als Männer und Weiber, fast alle mit Kindern auf den Armen. Sie laufen auf uns zu den Hügel hinab; bleiben stehen, drehen sich um, rufen zurück gegen die Bäume, woher andere Gestalten kommen. Es waren einige hundert am Ufer als wir am Quai das Boot festmachten. Mit dem Dolmetscher und den Regierungssekretär ging ich ans Land.

Die meisten Frauen hatten lange braune Schafspelze an, die Fellseite nach innen gekehrt und darunter ein Hemd. Die Kinder waren fast alle nackt; die Mütter trugen sie in ihren Kleidern, damit sie warm hatten. Die Männer waren groß, hager, mit trotzigen Augen aber traurigen Blicken, die starr unter den buschigen Augenbrauen hervor ins Leere gingen; dicht fiel ihr Haar über die Stirn hinab. Sie trugen ein weites Hemd gewendet und geflickt, aber sauber, dann Hosen aus zusammengestoffeltem Sacktuch, um die Beine hatten sie Gammaschen, zerrissen wie Scheuerlappen; die Füße staken in platten Weidengeflechten die mit Schnüren und Lappen rund um die Knöchel und Beine gewickelt, befestigt waren. Kinder mit blöden Augen standen herum, in allen möglichen Lumpen, wie nur die Not sie anlegt. Es war ein tiefes Schweigen, als wir auf sie zutraten.

„Tarawisk bringst du uns Brot? Wir haben Hunger". Das kam sanft voll Frieden aus dem Munde eines kleinen weißbärtigen Bauern, der seine Frage

mit dem Kreuzeszeichen begleitete und dann die Hände über die Brust faltete. Hinter ihm mit Blicken voll Angst hing die Menge am Mund des Regierungssekretärs der antwortete:

„Kameraden ich habe kein Brot. Es ist nirgends was. In Samara sind viele daran wie ihr und ich".

„Dann komm doch und bring uns von diesem Sandhaufen weg wo wir verhungern, jede Stunde einer".

„Das geht nicht Kameraden. Hier seid ihr noch besser dran, als in der Stadt. Da hocken tausend aufeinander; die Luft ist voll Pest. Hier habt ihr kein Brot; in der Stadt haben sie auch keines und dazu haben sie keine frische Luft und Wasser und den Wald wie ihr hier".

In ihren Augen starb die Hoffnung — wie die Schatten kommen wenn die Sonne weggeht. Kein Schrei, kein Fluch, wie man es erwarten könnte, wenn Verhungernde von einem wohlgenährten wohlgekleideten Regierungsmann ihr Todesurteil hören. Eine Welle von Haß ging hoch aber fühlbar nur dadurch, daß sie gestaltlos blieb.

„Ich kann euch nur Worte bringen: Hilfe kommt, ich versprech's. Hier sind vier Amerikaner, die eure Not sehen wollen; sie sagen's dann ihrem Volke; dann kommt Brot schnell von über dem Meer her".

Einige von den Zuhörern drehten sich langsam um und gingen zurück den Sand hinauf. Andere sahen sich an, hoffnungslos; dann gingen sie auch weg. Sie sagten nichts. Der Sekretär hatte ja genug gesagt und Brot gab's ja keins. Wer sprechen will, der muß Kraft haben, und die hier im Sande auf den Tod warteten, die hatten keine mehr.

Zwei von uns folgten ihnen den Hang hinauf von wo uns der Rauch vom grünen Brennholz entgegenstach aus den leichten Schirmhütten aus Blättern und Zweigen, wo man zäh gegen den Hungertod kämpfte, der über diesen Hügel hereingebrochen, im letzten Schützengraben der Hoffnung. Frauen saßen am Boden, den Rücken an einen Baumstumpf gelehnt, den Kopf hintenüber, die Arme über die Brust, um ein Häufchen Mensch, das unter dem Schafspelz Nahrung suchte wo keine war, Kinder lagen herum die Augen weit offen auf Decken, Lappen und Säcken. Alte Weiber streiften das Grüne von Blättern und Kräutern, warfen die Stengel weg und quetschten die grüne Masse durch ein Sieb: das gab ihr Brot. Alte Männer mit weißen Bärten wie Patriarchen, ganz gelb um die Lippen warfen Holzspänchen in das kochende Wasser über dem Feuer: es schien ihnen einen Genuß die Schmerzen in ihrem Magen damit stillen zu können. Eine junge Frau mit einem Glanz in ihren großen Augen, wie er nur in Mutter Augen leuchten kann winkte mich in ein kleines Laubgelaß wo ein Kind von drei Jahren lag, die blöden Augen weit offen, in die Höhe starrend. Der Leib des Kindes war anscheinend mit einem Kissen bedeckt worüber man eine Decke gebreitet hatte, die nur etwas höher lag als der Kopf des Kindes. Die Mutter zog die Decke ab nahm das nackte Kind auf um es zu nähren — stand starr da im Entsetzen. Das Kind war so dick wie groß; es war ein Ballot mit straff gespannter gelber Haut an dem man Kopf, Füße und Hände eines Kindes angeklebt hatte. Es lebte noch aber nicht mehr für lange. Nahrung konnte nicht mehr retten. Das Kind konnte nicht essen, nicht schlucken; sein Leib war vollgestopft von Erde der schwarzen fettigen, russischen Erde die keinen Kies hat, die an den Zähnen klebt wie Teig und die den Hunger stillt. Aber sie verdaut sich nicht, sie klebt in den Eingeweiden zusammen mit allem was man weiter ißt. Und dann beginnt das Innere zu schwellen, der Leib schwindet und als einzige mögliche Rettung erscheint der Tod.

WAISE.

I.

In der Deinen heiterem Kreise
Steht heut, dankbar froh bewegt.
Auch die arme kleine Waise
Die Du an Dein Herz glegt.

II.

Traulich, wie der eignen Kinder
Hast Du meiner stets gedacht,
Liebend auch für mich nicht minder
Als für sie gesorgt, gewacht.

III.

Seit ich übertrat die Schwelle
Deines Hauses, hilflos, schwach,
Übernahmst Du Mutter Vaterstelle
Hingest mir mit Liebe nach.

IV.

Hast in Krankheit mich gepfleget
Alle meine Not gestillt,
Mich zum Guten angereget
Gern des Wohltuns Pflicht erfüllt.

V.

Ach vergelten kann ichs nimmer
Was Du hast getan für mich
Doch aus tiefster Seele immer
Will ich dankbar lieben Dich.

VI.

Und er, der vom Himmelsthrone
Gern der Weisen Fleh'n erhört
Wird Dir geben auch zum Lohne,
Was das Erdenglück vermehrt.

VII.

Viele, viele lange Jahre
Lebe heiter und beglückt,
Und an jedem Tag erfahre,
Was des Menschen Herz beglückt. A. G.

FÜR UNSERE JUGEND.

Es ist schon einige Jahre her. Damals fuhr ich als Leichtmatrose auf einem kleinen Dampfer, der hauptsächlich mit Stückgütern nach Südamerika ging, aber hin und wieder auch einzelne Reisende beförderte. Gewöhnlich kümmert sich der Seemann bitterwenig um die Mitreisenden, aber einmal hatten wir einen Ausnahmefall zu verzeichnen.

In Begleitung einer älteren Dame war nämlich ein junges Mädchen an Bord gekommen, ein liebes Kind von solch herzgewinnender Schönheit und Güte, daß jeder von uns sich glücklich fühlte, wenn die Fremde seine Dienste begehrte.

Die junge Reisende mochte sechzehn Jahre zählen. Ihre Gestalt war zart und überschlank; die Wangen waren leicht getönt. Den kleinen Kopf schmückte üppiges, goldblondes Haar. Große, tiefblaue Augen gaben ihrem schmalen Gesichtchen einen tiefen, sinnenden Ausdruck.

Aber das gute Kind war so zart, so gebrechlich, es konnte nicht gesund sein; wir bemerkten es bald nach Antritt der Reise. Von ihrer Begleiterin ängstlich behütet, betrat die Fremde nur bei schönstem Wetter das Verdeck; denn jeder Windstoß machte sie frösteln und zusammenschauern. Sie hatte große Fertigkeit im Geigenspiel und ließ sich an warmen Abenden gern herbei, uns Volks- und Seemannslieder vorzutragen. Fröhlich-frommen Gemütes, wußte sie allerlei kleine Geschichten zu erzählen. Mit großer Liebe sprach sie oft von ihrer verstorbenen Mutter in so lieben Worten, daß wir alle still und nachdenklich wurden.

Kein Wunder, daß wir sie lieb gewannen. Schon ihr Erscheinen wirkte günstig auf uns und machte uns zu besseren Menschen. Kein hartes Wort erscholl in ihrer Gegenwart; wohltuenden, stillen Frieden brachte sie mit sich, wo sie ging und stand; und jeder von uns bemühte sich, ihr angenehm zu sein.

Nach und nach erfuhren wir dann ihre Leidensgeschichte. Sie war die Tochter eines kleinstädtischen Beamten; Geschwister hatte sie nicht. Ihre Mutter war vor zwei Jahren an einer bösartigen Brustkrankheit gestorben. Die schwache Gesundheit des jungen Mädchens bereitete dem Vater große Sorgen. Er fürchtete, auch die Tochter zu verlieren, und hatte sich darum entschlossen, sie in Begleitung einer zuverlässigen Frau nach Sao Paulo in Brasilien zu senden. Unter dem milden Himmel jenes Landes, so hoffte er, würde der tödliche Keim, der vielleicht in seinem Kinde schlummerte, nicht zur Entwicklung gelangen.

Es war am zehnten Tage unserer Reise. Das Wetter war trüb und regnerisch. Am Abend erhob sich ein leichter Sturm, der uns kräftig hin und her warf. Unsern lieben kleinen Gast bekamen wir nicht zu Gesicht.

Gegen vier Uhr morgens war mein Wachdienst zu Ende und ich stieg todmüde ins Logis hinab. Ich schlief sogleich ein, aber eine laute Stimme und heftiges Rütteln weckten mich bald wieder auf.

Neben mir stand ein Mann der Backbordwache. „Steh auf“, sagte er hastig: „Fräulein Lenchen ist gestorben!“.

Einen Augenblick war ich unfähig, diese Worte zu fassen.

Doch dann stürzte ich an Deck, um auch hier das Unglaubliche zu vernehmen: Fräulein Lenchen, wie wir das junge Mädchen unter uns nannten, war sanft und schmerzlos am Herzschlag gestorben. Die Flagge an der Gaffel war schon halbstock gehißt, zum Zeichen, daß wir einen Toten an Bord hatten.

Blaß und ernst, das blonde Haar ein wenig wirr, wie ein aus dem Nest gefallenes Vöglein, so ruhte das tote Kind auf seinem Lager. Die alte Begleiterin saß zu ihren Füßen und weinte still. —

Wie im Traum ging uns der Tag vorbei; niemand sprach ein überflüssiges Wort; unterdrückter Schmerz lag auf allen Gesichtern. Zu hart, zu unvorbereitet war uns dieser Tod gekommen. —

Und dann kam Trennungsstunde.

Auf dem Deck versammelten wir uns. Traurig und schweigend standen wir um das Lager, auf dem Fräulein Lenchen in ihrer ewigen Ruhe lag.

Der Schiffsführer trat hinzu; wir nahmen die Mützen ab und rückten näher zusammen.

Ein Klingeln des Maschinentelegraphen: die Maschine stoppte ab. Die Schraube, die bisher rastlos das Wasser zerteilt hatte, stand still. Das ruckweise Erzittern, das bei ihren Stößen durch den Schiffskörper läuft, hörte auf. Langsamer wurde die Fahrt.

Dann hielt der Kapitän die Trauerrede, und nie hätte ich gedacht, daß dieser alte, strenge Mann solch weiche, liebe Worte finden könnte.

Von denen, „die in Jugend und Unschuld sterben“, sprach er, und daß sie doch den besten Teil erwählt hätten. Dann rühmte er die Vorzüge der Toten, sagte, daß sie unser Sonnenschein und unser Engel an Bord gewesen sei, und daß wir in Verehrung an sie denken würden.

Als er geendet hatte, war es ganz still; nur hier und dort erscholl ein leises Räuspern.

Dann stimmte der Steuermann das Lieblingslied der Toten an:

„Es ist bestimmt in Gottes Rat, daß man vom Liebsten, was man hat, muß scheiden“.

Leise stimmten wir ein; trüb und schwer schallten die Klänge über Bord hinaus auf die weite See.

Noch heute erinnere ich mich lebhaft des schmerzlichen Anblicks, den unsere kleine Trauerfeier bot: die barhäuptige, zaghaft, singende Schiffsmannschaft die in sanfter Dünung dahingleitende See, über und um uns heller Sonnenschein, — und die in weißes Leinen gehüllte stille Gestalt, die ein paar Tage lang unser guter Engel war. —

Das Lied war verklungen. Einige von uns wischten ein paar Tränen aus den Augen. Noch ein stilles Vaterunser, dann winkte der Kapitän.

Zögernde Hände, ein fliegender Schatten im Sonnenlicht und ein leises Plätschern der Flut, als ob sie willig das junge, tote Menschenkind aufnähme, — dann war es vorüber.

Dreimal gab die Dampfpfeife das Ehrensignal. Aber dieses tiefe Dröhnen, das sonst so unharmonisch klingt, klang dieses Mal nicht erschreckend, sondern wehmütig und als ob es Abschied nehmen wollte.

Dann wieder Telegraphenklingel: Volldampf voraus! — Die Zeit ist dem Seemann kurz bemessen.

* * *

Viel fremdes Land und Volk habe ich inzwischen gesehen aber unser Fräulein Lenchen kann ich nicht vergessen. Gar oft sehe ich die zarte Mädchenblüte vor mir stehen, mag nun die Sonne scheinen oder der Sturmwind grollen.

Aber still — ihr ist wohl! Ihre Seele ist ja bei der Mutter droben. Und wo könnte sie besser aufgehoben sein.

Soll man grüßen?

(Ein Erlebnis im Eisenbahnabteil)

Ich saß zuerst im Abteil. Dann stieg ein Herr mit einem Zylinder ein.

„Ich will sehen, ob er grüßt“, dachte ich. Nein, er grüßte nicht.

Dann kam ein Geschäftsreisender herein, sah uns mit leerem Blick an und grüßte nicht.

Ein Leutnant in Zivil war der nächste. Man sah es an der Haltung. Ein Gruß! Fiel ihm nicht ein.

Dann kam eine halbe Stunde Schweigen, nichts als Schweigen. Das Schweigen stieg aus unseren Augen kältenebelnd in die Höhe. Das Schweigen hing in dicken Wolken an der Decke. Das Schweigen schlug sich an die kalten Fensterscheiben und rann in zähen Tropfen auf klebrigen Gleisen.

Auf einmal kam ein Gespräch zustande. Es betraf das Grüßen: Soll man grüßen, wenn man in ein Abteil tritt?

Alle waren einig: Nein, man grüßt nicht. „Es wäre Beleidigung“, sagte der Herr, dessen Zylinder leicht im Netz oben schaukellte.

„Es gehört sich nicht“, sagte der Leutnant in Zivil.

„Man grüßt nur Leute, die man kennt“, sagte der Reisende.

Und dann sahen sie alle auf mich.

„Und Ihre Meinung?“ fragte der Reisende.

Da stieg ein Mädchen ein. Es sah frisch und fröhlich aus, sah uns unbefangen an und sagte: „Guten Tag“.

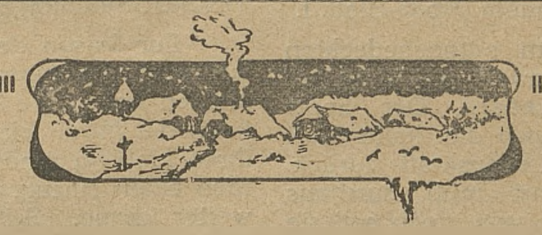
Worauf der Zylindermann, der Leutnant, der Geschäftsreisende und ich freundlich nickten und aus einem Munde sagten: „Guten Tag“.

Wir fügen dem noch bei: Alle unverdorbenen noch nicht verzogenen Kinder grüßen. Jeder Bauer mit seinem gesunden, also richtigen Naturinstinkt grüßt. Selbstverständlich grüßt man auf den Straßen der Stadt nur wenn man kennt. Wer aber im Eisenbahnabteil oder auf einem Gang übers Land, also dort, wo Menschen an die Menschen gerückt sind, nicht grüßt, ist jedenfalls ein auf seinen Anstand eingebildeter Hohlkopf. — Ob einer grüßt zeigt, wie viel Mensch in ihm ist.

HEILKRÄUTER.

Ein Kapitel Volkstum sind die Heilkräuter. Die alten Frauen sind bald alle ausgestorben, die noch die Kraft der freiwachsenden Heilkräuter kannten. Heute gehen schon die Bauern in die Apotheke, wo sie für einen Złoty dasselbe Kräutchen, allerdings zu Pillen verpäpelt, kaufen, das ihre Großmutter am Wegrand, im Korn- und Kartoffelfeld abrupfte. Welcher Duft, Heimatssegen, Heilkraft liegt in der Kamille, im Hollunder, Linde, Minze, Tymian usw. Lernen wir wieder die Heilkräuter kennen und in der Familie verwenden.

ALLERHAND AUS STADT UND LAND



RECHNEN HEISST SPAREN.

Ich besuchte gern die Märkte, auch wenn ich nichts kaufe. Das kaufende Publikum setzt sich zusammen aus Kleinbürgerinnen, Geschäftsfrauen und Beamtinnen. Ein kleiner Wortwechsel, wie er oft auf den Marktplätzen zu vernehmen ist, machte mich aufhorchen. Eine behäbige, von Sonne und Wind gebräunte Kleinkramhändlerin zürnte offenbar einer Käuferin und rief, nicht eben sanft, hinter ihr her: „Ja, ja, det wissen wir ja, die Frauen wollen immer weniger zahlen als die Männer". Da wandte sich die Käuferin um und sagte lächelnd und schlagfertig: „Sie kaufen ja auch ihre Ware ein". — „Ja ich, det is was andres, ich kenn' das genug von meinen Frauen, ich tue es nicht, ich handle nicht". Ungläubig lächelte die Käuferin und schwieg. Da aber mischte sich der Mann der Händlerin ein: „Ja, Sie können's schon glauben, meine Dame, es ist so, immer sind es die Frauen, die uns den ganzen Verdienst nehmen wollen. Es ist wirklich schade, daß die Herren nicht einkaufen geh'n".

Nachdenklich setzte ich, nachdem der Verkehr diesen kleinen Wortstreit verschlungen hatte, meinen Weg fort. Ich glaubte der Händlerin natürlich nicht, daß sie anders war, aber ich mußte ihr recht geben. Recht? Ist die Frau von Natur denn sparsamer oder gar geiziger angelegt als der Mann?

Das Leben der Frau ist zumeist von Kindheit an auf Sparsamkeit, auf Rechnunglegen, erst vor den Eltern, dann vor dem Gatten, und im Alter vielleicht vor dem Sohne, eingestellt. Eine Extraklasse, ein Einkommen, sei es noch so klein, hat die Frau, wenn sie nicht außer dem Hause arbeitet, nicht. Wie leicht entwickeln sich da Eigenschaften, die darauf hinauslaufen, nicht nur möglichst billig einzukaufen (das will schließlich jeder) sondern auch ein Restsümmchen zu erübrigen. Ein Kino lockt an dieser und jener Ecke, ein Hut verlangt gebieterisch ein neues Band, ein Schuh wäre um soviel zierlicher, wenn er einen neuen Absatz bekäme.... Und eine Tafel Schokolade ist schließlich auch nicht zu verachten. Kommen dann gar die Kinder und betteln: „Mutter, ich möchte Bonbons", so kann sie schon gar nicht widerstehen, sie gibt ihrem knappen Budget einen Stoß und muß dann Mittel und Wege finden, es wieder in Ordnung zu bringen. Verschwendungssucht wird unter solchen Umständen tatsächlich nicht gezüchtet.

Die Beliebtheit der Herren beim Einkauf ist unbestreitbar. Nicht nur auf dem Lebensmittelmarkt, sondern auch in den Geschäften, im Restaurant und Kaffeehaus. Jahrhunderte und Jahrtausende alt ist die Geste des zahlenden, des erwerbenden, des beschenkenden Mannes. Und ebenso alt ist die Geste der empfangenden, der ängstlich berechnenden Frau. Im ganzen Osten der Welt herrscht noch heute die Sitte, daß der Mann der Einkäufer auf den Märkten ist, ein Beweis der Hörigkeit der Frau, die vom Osten ausging und dort vielfach noch nicht behoben ist.

EINFACHE TASCHENTÜCHERWÄSCHE.

Hat man eine größere Anzahl von Taschentüchern zu waschen, so ist es ratsam, jedes einzelne Tuch erst auf der einen Seite einzuseifen und zu bürsten, und dann auf der anderen; das nimmt zu viel Zeit in Anspruch. Praktischer ist es folgendermaßen: Vorerst wird das erste Tuch nur auf einer Seite eingeseift und gebürstet; dann folgt gleich das zweite, und so fort: alle werden aufeinandergelegt und nur auf einer Seite behandelt. Erst wenn alle Tücher aufeinander eingeseift sind, wende man sie alle durch einen Griff um und bürste sie auf der zweiten Seite. Das bedeutet Zeit- u. Kraftersparnis.

GESULZTE BIRNEN.

Eine Kilodose Birnen, halbe Früchte möglichst, gießt man über ein Sieb zum sehr guten Abtropfen. Den Saft würzt man mit Zitronensaft und etwas geriebener Zitronenschale, gibt man ihm eine ganz kleine Prise Salz bei, vermischt ihn mit 12—14 Blatt aufgelöster und durch ein Sieb passierter roter Gelatine und verteilt ihn über die in eine Glasschale hübsch gelegten Birnen. Nach dem Erstarren der Fruchtsulze stürzt man sie und verziert sie mit Bällchen von Schlagsahne.

MODE

MODERNE WINTERSPORTKLEIDUNG.

Textbeschreibung zu nebenstehendem Mode-Blatt. I.

Eine kurze Erholungszeit im schneebedeckten Harz, Riesengebirge oder Schwarzwald gehört zu den unvergesslichen Freuden des Lebens. Der Sport stärkt die müden Glieder und durch die kalte Luft erfrischt, kehren wir mit neuer Lebenskraft zurück. Die Kleidung für den Wintersport muß durchaus zweckentsprechend und praktisch sein, doch soll sie nicht der Grund werden, daß viele ihre ersehnte Winterreise aufgeben, weil sie die Unkosten scheuen. Wer selbst schneidert, kann sich auch mit wenig Mitteln eine hübsche Sportausrüstung zusammenstellen. Ist ein sportliches Jackenkleid vorhanden, so zieht man unter den Rock Kniehosen, über den Rock einen Jumper, vielleicht beides aus dem gleichen, karierten Wollstoff und setzt eine Basken- oder Pudelmütze auf. Es gibt neue Trikothosen mit angeschnittenen langen Gamaschen, reizende Pullover aus Wirkstoff und leichte Lederjacken mit Reißverschluß, doch sind stets höchstens 2 Farben zusammenzustellen, die grelle Buntheit gehört heute nur noch auf den Fastnachtsball, Dunkelblau und Braun werden von allen ernsten Sportlerinnen bevorzugt.

Dunkelblauer Molton ergibt das praktische Skikostüm S. 39281 mit kurzen, weiten Kniehosen. Die Jacke, über einem gestrickten Pullover zu tragen, ist mit geschweifter Passe und Klappentaschen gearbeitet. Erf.: 2,65 m. Stoff, 130 cm breit. Beyer-Schnitte für 92 u. 100 cm. Oberweite. Preis Mk 1.—

Praktisch und Jugendlich zum Schlittschuhlaufen und Rodeln ist ein gerader Faltenrock aus Wollstoff und ein Jumper aus buntgemustertem Wirkstoff, Abb.S. 39283. Erf.: 1,85 m Wirkstoff, 70 cm. breit, 1,65 m. Rockstoff, 120 cm. breit. Beyer. Schnitte für 92 u. 100 cm. Oberweite. Preis Mk.1,—

Unter dem Sportkleid S. 39287 aus einfarbigem und quergestreiftem Wollstoff trägt man ein Sportbeinkleid. Der Rock hat vorn und seitlich Falten. Erf.: 2 m. einfarbiger, 70 cm. gestreifter Stoff, je 130 cm. breit. Beyer-Schnitte für 96 u. 104 cm. Oberweite. Preis Mk. 1.—

Schwarz-weiß, die große Mode für den Wintersport wirkt an dem Kostüm S 39284 sehr hübsch. Die Jacke hat Kellernähte, die wie die Rockfalten mit gestickten Fliegen verziert sind. Dazu die Bluse B 39285 aus kariertem Sportflanell. Erf.: 3,50 m. Kostümstoff, 130 cm. breit, 1,30 m. Blusenstoff. 140 cm. breit. Beyer-Schnitte für 92 u. 100 cm. Oberweite. Kostümschnitt Preis Mk. 1.—, Blusenschnitt Preis Mk. 0.70.

Unser Modell S 3946 zeigt den beliebten Norwegeranzug aus dunkelblauem imprägnierten Gabardine. Der Gürtelbund der Jacke liegt durch einen seitlich eingearbeiteten Gummizug fest an. Das lange Beinkleid hat seitlich Klappentaschen. Erf.: 3,10 m. Stoff, 130 cm. breit. Beyer-Schnitte für 92 u. 100 cm. Oberweite. Preis Mk. 1.—

Wo keine Verkaufsstelle am Ort, beziehe man alle Schnitte durch: Verlag Otto Beyer, Leipzig, Weststr. 72.

FESTLICHE KLEIDUNG FÜR KINDER.

Textbeschreibung zu Mode-Blatt II.

Zur Saison der großen Bälle und Maskeraden will auch die Jugend ihre Feste feiern. Am Verkleiden haben die Kleinen besonders viel Spaß. Oft kann die Mutti ein vorjähriges Maskenkostüm für ihren Liebling umändern, oder die Knaben bekommen einen Anzug, den sie später beim Spielen gern weiter tragen. Seit der großen Verbreitung und Verbesserung der Kunstseide, die unsere heimische Industrie erzeugt, ist gerade für die Kinderkleidung die Auswahl des Materials sehr groß. Einfache Festkleidchen arbeitet man aus Voile, Bastseide, Chinakrepp, Waschseide oder feinem Wollkrepp in Hängerform und verziert sie mit Falten, Knöpfchen, Schmuckfalten und Handstickerei in bunten Farben.

Das Kinderkleid MK. 49129 aus zartgrüner Waschseide ist in Hängerform mit kurzen, angeschnittenen Ärmeln gearbeitet. Erf. 1,25 m. Stoff, 80 cm. breit. Beyer-Schnitte für 2, 4 und 6 Jahre zu 70 Pfg.

Festlich wirkt der Anzug für kleine Knaben KK 3971. Über einem weißen Batistblüschen wird das Höschen aus blauem Lindener Waschsamt mit abknöpfbaren Trägern getragen. Erf.: 75 cm. Samt, 1 m. Batist, je 80 cm. breit. Beyer-Schnitte für 2, 4 und 6 Jahre zu 70 Pfg.

Kleidsam ist der Knaben-Anzug KK 45282 aus dunkelblauem Wollrips mit Kragen und Ärmelaufschlägen aus weißem Waschstoff. Beinkleid mit Futterleibchen. Langer Kittel mit Ledergürtel. Erf. 1,50 m. Stoff, 130 cm. breit. Beyer-Schnitte für 3, 5 und 7 Jahre zu 70 Pfg.

Das aparte Festkleidchen MK. 2773 besteht aus einem weißen Voilehänger, über dem ein Jäckchen aus dunkelgrünem Gitterflausch getragen wird. Dieses ist reich mit Handstickerei verziert. Erf.: 1,40 m. Kleiderstoff, 80 cm. breit, 70 cm. Gitterflausch, 100 cm. breit. Beyer-Schnitte für 4, 6 und 8 Jahre zu 70 Pfg. Beyer-Zählmuster Nr. 70243/III zu 40 Pfg.

Zu dem beliebten Indianeranzug KK. 17171 braucht der Knabe ein weißes Hemd mit roten Blenden und Stickerei, gelbe Hosen mit Franzen, einen roten Gürtel und bunten Federkopfputz. Beyer-Schnitte für 5, 7 und 9 Jahre zu 70 Pfg.

Reizend wirkt der Sarottimohr MK. 17175 für Knaben und Mädchen. Die weiße Waschbluse ist mit bunten Borten besetzt. Bunter Maskenatlas ergibt das weite Beinkleid und den Turban. Beyer-Schnitte für 7, 9 u. 11 Jahre zu 70 Pfg.

Kreuzstichstickerei verziert den Hänger MK.2972 aus weißem Voile. Erf.: 90 cm. Stoff, 110 cm. breit. Beyer-Schnitte für 3, 5 und 7 Jahre zu 70 Pfg. Beyer-Abplättmuster Nr. 90112/I, 1 m. zu 20 Pfg.

Zum Festkleidchen passend arbeitet man das Hütchen V. 5186. Der Kopf ist mehrmals gereiht, der Rand mit Stickerei- oder Spitzenblümchen verziert. Beyer-Schnitte für 4 Jahre zu 30 Pfg.

Leicht nachzuarbeiten ist die Matrosenmütze V 8361 aus blauem Tuch. Beyer-Schnitte für 6 u. 8. Jahre zu 30 Pfg.

Wo keine Verkaufsstelle am Ort, beziehe man alle Schnitte und Muster durch: Verlag Otto Beyer, Leipzig, Weststr. 72.

S 39281
Beyer-Schnitt

S 39283
Beyer-Schnitt

S 39287
Beyer-Schnitt

S 39284
Beyer-Schnitt

S 3946
Beyer-Schnitt

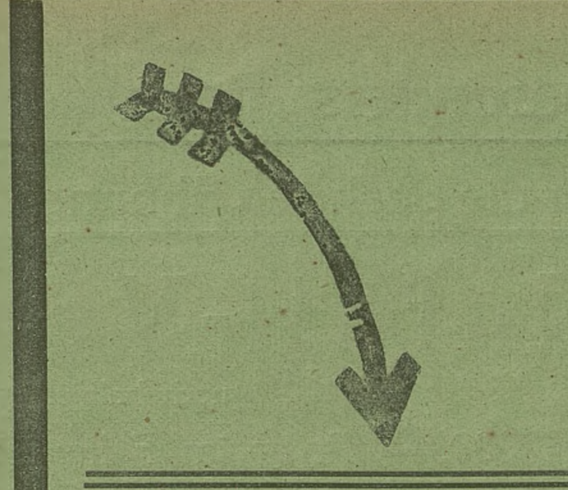

ATLANTIC
V 8361
Beyer=Schnitt
KK 17171
Beyer=Schnitt
MK 2972
90112/I
Beyer=Schnitt
V 5186
Beyer=Schnitt
MK 49129
Beyer=Schnitt
KK 3971
Beyer=Schnitt
MK 17175
Beyer=Schnitt
KK 45282
Beyer=Schnitt
MK 2773
Beyer=Schnitt

Bekanntmachung!

Für den Bezirk Świętochłowice u. umliegende Ortschaften haben wir die Bezirksvertretung Herrn Karol Wollny, Ruda, ulica Bytomska 53 übertragen.

Herr Karol Wollny ist berechtigt zur Aufnahme neuer Abonnenten u. Inseraten, sowie Einkassierung derselben.

Der Verlag
„Ognisko Domowe".



Inseriere jeder im „Ognisko Domowe", — denn unsere Zeitschrift wird von Kaufleuten, Hausbesitzern, Industriellen, Beamten und Arbeitern gelesen

Für alle Orte werden tüchtige

BEZIRKS-VERTRETER

gegen hohe Provision gesucht.

DER VERLAG „OGNISKO DOMOWE".

Uwaga: Jeżeli wypełni się tylko drugostronne „uwiadomienie" przesyłka idzie jako druk i porto wynosi 5 groszy. Jeżeli dopisze się jeszcze więcej, przesyłka idzie jako pocztówka i przeto wynosi 15 groszy.

Do

Wydawnictwa „Ognisko Domowe"

w Król.-Hucie

ulica Wolności 11.

Tłoczono czcionkami Drukarni „Sztuka" w Mysłowicach, Powstańców 7, Tel. 71.

Besonders hochwichtige Vergünstigungen

für die geehrten Abonnenten des „Ognisko Domowe“:

Unfall-Versicherung

nach halbjährigem Abonnement

2000.— Złoty im Falle eines tötlichen Unfalles,
2000.— Złoty für den Fall dauernder Ganzinvalidität, bis .
600.— Złoty bei teilweiser Invalidität.

Die Ehefrau des Abonnenten ist unter denselben Bedingungen mitversichert!

Sterbe-Versicherung

300.— Złoty für den Ehemann. **200.— Złoty** für dessen Ehefrau.

Wer bei Abonnementsbeginn über 50 Jahre alt ist, nimmt an der Sterbegeld-Versicherung sowie an der Unfall-Versicherung nicht teil.

Die Police wird nach 6-monatlichem Abonnement ausgehändigt.

Kostenlose Beratung.

Werbet ständig neue Abonnenten für „OGNISKO DOMOWE“!!

Wyciąć, wyraźnie wypełnić, podpisać i wysłać!

Wyciąć, wyraźnie wypełnić, podpisać i wysłać do Wydawnictwa Ogniska Domowego.

No ....

Zamówienie

Zamawiam niniejszem pismo ilustrowane „Ognisko Domowe“ za miesięczną cenę abonamentową 4.— zł. z dostawą do domu

Imię i nazwisko ....

....

zawód ....

data urodzenia ....

adres zamieszkania ....

....

Bestellschein

Bestelle hiemit die Zweiwochen-Zeitschrift „Ognisko Domowe“ für das Monatsabonnement von 4 Złoty mit freier Zustellung.

Vor u. Zuname ....

....

Beruf ....

Geburtsdaten ....

Adresse ....

....